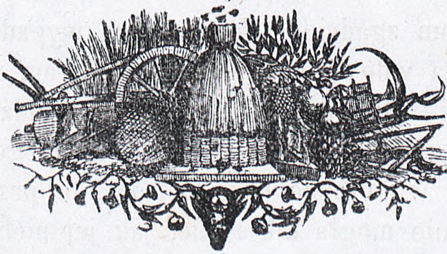
Tom IV. **Nr. 13.**

1. Maja. **1861.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Wdowa z sierotką.

Był biedny komornik, który żył z dziesięciu palców. Nie miał on ani zagonka swego, ani chałupki, ani nie umiał żadnego rzemiosła, a tu trza było wyżywić troje ludzi: siebie, żonę i dziecinę małą. Jużci tu na ziemi różni są ludzie! Jednym się nie chce robić, tylko radziby, aby im do gąbki leciały pieczone gołąbki, a jak czego brak, to bodaj i ukraść albo wykręcić, żeby dzień boży było czem przeżyć. Ale komornik biedny był sobie poczciwy! Czy to młócił we dworze czy u gospodarza, to on tam i ziarneczka nie wsypał za cholewę ani do kieszeni, ani zapazuchę. Gdy był na zarobku w polu to nie ruszył nikomu ani główki kapusty, ani kłoska ani trawki. Co sobie rękami sprawiedliwie zarobił to spożywał z czystem sumieniem z żoną i dziecinką. Czasem przyszła mu do głowy smutna myśl, co to będzie robić w chorobie jakiej albo na starość, ale pocieszał się tą gadką:

— Kogo pan Jezus stworzy, tego głód nie umorzy, jeżeli on trzeźwy, pracowity i pobożny.

To się też ludziska darli za komornikiem do roboty, bo robił żwawo i za dwu leniuchów, a zawsze sobie gadał:

— Za dwie rąk i dziesięć palców, za dwie uszy i oczy i za jeden język, trzeba kiedyś zdać rachunek po śmierci przed panem Jezusem.

Aleć kto tam zgadnie, jak mu jutro wypadnie? Umarł komornik, a została wdowa z dzieciną. Zda wam się, że ją ludzie żywili i wspierali? Oj nie tacy tam wszyscy ludzie dobrzy i miłosierni, aby z serca pożywili i odziali biednego! Bo choć pan Jezus nakazuje i w kościele uczą dobrze, to przecie inaczej się dzieje. Wdowa nie mogła tak robić, jak jej nieboszczyk, to też mało kto brał ją do roboty. I byłaby z biedy zginęła, gdyby nie pani co ją wzięła do dworu i kazała żywić i nocować z zdzieciną. Aleć trudno to wiedzieć jakie komu przygody zgotował pan Jezus za życia! Umarła pani, i wdowa poszła ze cmętarza zapłakana na cudzą wieś, i stanęła komorą także u jednej wdowy. Ona się modliła codzień za duszę pani, bo ta darowała koszulki dla sierotki a dla wdowy chusty jeszcze niczego, i trochę grosza dała jej, kiedy już miała konać. Lecz jakież mogło być życie tej wdowy, co mieszkała u drugiej takiej samej biedaczki? A przecież nieraz prędzej biedny biednego poratuje niż bogaty, bo głodny wierzy głodnemu, a kto biedował kiedy to wie, co to znaczy bieda. Otóż i te dwie wdowy jak mogły, tak się ratowały, nieraz sobie razem zapłakały, a często gęsto gadały o nieboszczce pani, która miała miłosierne serce i lubiła wspomódz biednego, i wzdychały wtedy do pana Jezusa za jej duszyczką.

Trafiło się, że był blisko tych wdów zły chłop, który niesprawiedliwie wygrał proces i wygnał z chałupy obie kobiety. Ani płacz ani prośby nie pomogły. Jedna poszła do krewnych swoich, a ta druga komornica poszła między ludzi z sierotką swoją. Rozeszły się z wielkim płaczem, bo się obie bardzo lubiły: jedna przed drugą nie zamykała skrzynki, ani nic nie chowała; jedna drugiej dawała ostatnią okruszynkę chleba, pożyczały sobie nawet kożucha lub butów, jak trza było gdzie wyjść między ludzi, a tą sierotką cieszyły się obie, jak gdyby obie były jej matką.

Nie wygadywały biedne wdowy na tego chłopa niesprawiedliwego, ani go nie przeklinały za tę krzywdę, lecz sobie mówiły:

— Wie tam dobrze o każdym pan Jezus w niebie, on go poratuje w każdej potrzebie. A temu niedobremu chłopu niech pan Bóg niepamięta tej ślepoty i łakomstwa. On nie weźmie do grobu tej chałupy.

Bywa to, że na świecie dostanie się nie raz kara i niewinnemu! Tak już ustanowił sam pan Jezus na tej ziemi, że jednemu lepszemu idzie nieraz źle a drugiemu idzie jak po maśle, choć u ludzi tego nie wart. Najlepiej zaś wychodzi ten, kto się zgadza z wolą boską i zawsze to robi, co się do niego patrzy.

Oj biedaż bo bieda była teraz niebodze wdowie z tą sierotką! Źli ludzie dawali jej takie rady:

— Weź, skalecz tę sierotkę: albo złam jej rączkę, albo wybij jej oczko, i noś ja między ludźmi, a tak ci prędzej da kto cobądź dla kaleki.

A ona zapłakała, i kiwając głową prawi:

— O niech mię pan Jezus Milatyński broni! O moja Panno najświętsza Częstochowska! Czyż jabym mogła kaleczyć moją dziecinę? O nigdy, nigdy!

I całowała sierotkę przyciskając ją do piersi i zakrywając rękami, a sierotka brała matkę za szyję, i tuliła się do niej chowając główkę pod chustkę. Niewiedziała biedna sierotka, że źli ludzie stali jej na zdradzie.

Inne baby niedobre tak jej znów gadały:

— Nie daj jeść tej sierotce, aby była mizerną i suchą; nie pierz dla niej koszulki nigdy, ale oblecz ją w najgorszy łach, a jak gdzie przyjdziesz do chałupy, to uszczypnij dziecko, albo go igłą ukłuj, a ono zapłacze, i prędzej ci ludzie dadzą co dla sieroty. Lecz ty nosisz dziecko czerwone jak burak, a białe jak lilja, i samaś oprana i okryta, to cóż ci kto da?

A wdowa aż się przestraszyła na takie gadanie i odpowiadała babom:

— Widziałyście w chałupie waszej, jak tam kotka lizała swoje kocięta, jak je myła języczkiem i łapką przednią głaskała; widziałyście jak tam suczka brała psiątka w pyszczek pomału i przenosiła na drugie miejsce, a nigdy ich nie rzuciła w błoto albo na proch. Toż jabym miała być gorszą od tej kotki lub suczki? Jabym miała kłuć igłami moją sierotkę, albo ją mo-

rzyć albo ją obedrzeć z koszulki, i patrzałabym się na jej wyschłą twarzyczkę, na suche rączki i nóżki? Jabym miała rachować zioberka w jej boczkach, jabym miała żebrać i żywić się z mizeroty tej drobnej dzieciny, tego aniołeczka i buziaczka mego? —

I puściły się jej łzy po twarzy, a dziecina koszulką swą ocierała jej mokre oczy i zaczęła mocno płakać, a matka ją ciszy i mówi:

— Cisio! cisio! moje dziecię, ja ci tak nie zrobię, jak mi radzą te czarne i złe baby. Ja cię zawsze nakarmię, opierę i dopilnuję jak oka własnego.

I poszła het daleko z tej wsi, gdzie byli tacy niedobrzy ludzie, co ją do złego namawiali. I szła sobie codziennie na zarobek, a sierotkę brała z sobą i sadzała na ziemi koło siebie, albo kładła ją do słomy, okrywała łachami i usypiała, a potem krzątała się, aby więcej zrobić i zarobić na siebie i na życie sierotki. I tak żyła biednie, bo biednie, ale nie obrażała pana Jezusa nigdy grzechami jakiemi wielkiemi. Cały tydzień robiła, a co sobota to wyprała dla siebie i sierotki chusty wszystkie, sierotkę wyczesała, omyła i ogarnęła jak się patrzy. W świętą Niedzielę szła z sierotką do kościoła, a sierotka umiała już paciorek, przykazania i sakramenta, i wiedziała, że jest Bozio nad głową a pan Jezus na krzyżu w kościele, i każdy krzyż całowała. Po święcie znowu szła na zarobek dzień po dniu, a choć uboga nie ukradła nigdzie nic, ani nie skrzywdziła nikogo, a przy robocie to sobie mówiła pacierz i nie ośmiewała ani nie ogadała nikogo, jak to zwyczajnie ludziska robią, gdy się gdzie zejdą.

Była sobie więc szczęśliwa, choć nie miała ani chałupy, ani zagonka, bo szczęście jest wtedy dopiero prawdziwe, kiedy człowiek nie dużo pragnie, a żyje pobożnie i pamięta, że Pan Jezus nie da nikomu marnie zginąć, jak kto sam tego nie chce. Tymczasem coś się stało tej sierotce że zachorowała. Wyschło to biedne dziecko tak, że zdało się, iż można na wylot przez niego widzieć. Wdowa nie mogła zarabiać tyle, trza było pilnować sierotkę, a tu głód dokuczał. Przyszła wtedy jakaś stara baba do niej i gadała:

— Co mi dasz, to ja ci powiem, co się stanie z tem dzieckiem?

A wdowa popatrzyła na nią i rzecze:

— Czy ty Pan Bóg, abyś wiedziała takie rzeczy? To się stanie zemną, i z tobą i z każdym, co Pan Jezus zechce, i jak sobie zasłużymy.

A stara baba mówiła jej dalej:

— Weź, wyrzuć to suche dziecko do stawu, a będziesz miała wolne ręce i pozbędziesz się ciężaru i płaczu.

A wdowa na to:

— Idź ty czarownico! bo to pewnie zły duch mówi z ciebie ale nie dusza ochrzczona. Ja bym mego dziecka do grobu sama nie włożyła, gdyby mi go Pan Jezus wziął, a nie do stawu, i to jeszcze żywe. Idź sobie odemnie, bo mnie strach bierze na taką mowę!

I poszła baba stara, ale tę mowę wypowie jej Pan Jezus kiedyś na sądzie. Wdowa została sama z sierotką, poszła ona to do dworu, to na plebanią i ratowała sierotkę, jak tylko mogła, zaniosła ją do miasta do doktora i przyniosła leki rozmaite ale to wszystko nie pomagało. Zaczęła się modlić nad sierotką:

— Boże! nie bierz mi tej dzieciny! choć ona biedna tutaj, choćby jej w niebie było lepiej, choć ja bieduję dla niej, to nie bierz mi jej; cóż ja sobie pocznę sama jedna, jak to dziecię umrze i ja zostanę samiutka, wdowa i sierota?

I zasnęła tak w płaczu wielkim, aż tu śni jej się aby to dziecię zaniosła do Pana Jezusa Milatyńskiego i tam go ofiarowała. Ależ do Milatyna daleko, jak tu nieść na rękach chore dziecię? o czem tam iść? Wstała, włożyła sierotkę w niecki wielkie, przywiązała te niecki do szyi swej i trzymała rękami główkę sierotki, aby się nie ruszała, i szła, szła i płakała i ciągle się modliła, aby zajść do Milatyna. A żeć to kto chce co dopiąć, to dopnie, jeźli się to zgadza z wolą Boską, tak też i wdowa stanęła na miejscu, i złożyła ostatnie trzy trojaki do skarbonki pod krzyż pański. Potem dobyła białą koszulkę, oblekła w nią sierotkę, sama się omyła to z błota to z potu, to z łez swoich, poszła do św. spowiedzi i komunji i wtedy położyła sierotkę pod krzyż Pana Jezusa, a złożyła ręce i nachyliła głowę pokornie, i zaczęła się modlić i modlić. Już się

nabożeństwo skończyło, już się i ludzie rozeszli a ona sama klęczała i modliła się; to patrzała na twarz sierotki, to się dotykała ręką nóg Pana Jezusa a potem tę rękę kładła na główkę sierotki aż sierotka zawołała: — pić! Matka nazbierała łez swoich do dłoni i te wpuściła do gęby sierotce i mokrą dłonią omyła twarz biedactwu, i zdało jej się, że sierotka kona. Aby nie widzieć konania wyszła matka za kościół, odwróciła się od sierotki i mało co że nie padła na ziemię od wielkiego żalu. Aż wtedy patrzy, a tu idzie ku kościołowi jakiś dziaduś niski z laseczką krótką. Włosy jego i broda jak śnieg, a chusty na nim tak, jak by dopiero co świeżo uszyte. I wszedł do kościoła, zmaczał sobie palce w święconej wodzie, przeżegnał się, ukląkł i pocałował świętą ziemię i zbliżył się tam, gdzie sierotka była. Wtedy i matka wróciła się do sierotki i myślała, że już nie żyje. A dziaduś pytał ją:

— Zkąd wy matko? po co wy tu przynieśli to dziecię?

Na to matka rzecze:

— Ja nie mam ani chałupy, ani wsi, tylko tę sierotkę; dziesięć mil niosłam ją tu na rękach. Kazali mi źli ludzie utopić ją, to umorzyć, ale ja się boję pana Jezusa i nie zrobiłam tego; śniło mi się, abym tu zaniosła tę sierotkę, a oto podobno już umarła! — I zaczęła płakać, a dziaduś jej powiedział:

— Weź sobie matko sierotkę, boś ty dobra matka i widać kochasz to dziecię. Ono ci nie umrze, boś sobie uprosiła i zasłużyła w niebie, aby ono żyło i ciebie tak kochało, jak ty go kochasz. Ci ludzie, co cię wyganiali z komory, co cię krzywdzili już nie żyją, już są osądzeni; a ci źli, co ci radzili utopić, kaleczyć lub umorzyć tę sierotkę, staną jutro na sądzie pańskim i odbiorą zapłatę. Ci zaś, co cię wspierali i do chałupy przyjmowali i pamiętali o tobie i twej sierotce, ci już albo są w niebie albo tam przyjdą, jeżeli tak zawsze będą litośni dla wdów i sierot, jak byli dotąd. A ty biedna matko doczekasz się pociechy z tego dziecka. Oto masz tu ten woreczek: kiedy ci co będzie potrzeba, to tylko włóż tam palce, a znajdziesz dukata. Ale ci powiadam, że w tym woreczku nie znajdziesz nic, jak tylko na coś złego jeden groszyk wydasz, albo jak kiedy miniesz biednego, osobliwie sierotę małą.

I znikł dziaduś, a matka wzięła sierotkę na ręce choć ono biedactwo samo chciało stać na ziemi. I powróciły te dwie sieroty, a dokąd? oto woreczek dostarczał wszystkiego. Sierotka urosła, matka miała wsparcie u niej, szły dukaty na ubogich, na sieroty, tak jak dziaduś nakazał, i ani groszyk się nie zmarnował. I było szczęście i błogosławieństwo, a dopiero później poznała matka, kto to był ten dziaduś i dla czego to on mówił tyle na niedobrych.

Wy też ludkowie miłujcie sierotki i biedne wdowy, a i wam tak zapłaci sam pan Jezus z nieba.

Ks. Wojciech z Medyki.

WIOSNA.

Słońce dogrzewa,
Ludzie het orzą:
Skowronek śpiewa
Na chwałę Bożą;
Choć zniknie oku
W śrebrnym obłoku,
Jakby z innego
Czystszego świata,
Piosenka jego
Perłami zlata.

Tak ślicznie dzwoni
W błękitnej toni
Ptaszyna droga:
Jakby tam w górze
W czystym lazurze
Zobaczył Boga!

Gdzie zwrócę oko:
Czy na te niwy,
Czy tam, wysoko,
Takim szczęśliwy!
Oczy łzawemi
Patrząc przed siebie,
Nie wiem czym w niebie
Czy też na ziemi.

W koło piosenka
Brzmi wciąż radośna!
Tu brzoza pęka,
Tam pachnie sosna;
Tu woda wzbiera,
A zpod tej wody,
Złoty świat młody
Z fali wyziera.
Tam klucz żórawi
Ciągnie zdaleka,
Tu płochych kaczek
Para ucieka.

Lecą bociany,
Drozdy, słowiki;
Pełno przedziwnej
Żywej muzyki.

W górze rozlane
Błękitne morze,
Powietrze szklanne,
Czyste... Ach Boże!
W jakiemże słowie
Człowiek wypowie:
Rozkosze wieśne,
Polne i leśne.

T. L.

DZIADY.

Po nabożeństwie odpustowem na dniu Zielnej Matki Boskiej, w kościele XX. Dominikanów w Borku odprawionem, wracali ludzie małemi kompaniami do domów swoich. Upał był bardzo dokuczliwy, więc zatrzymało się ich kilkanaścioro przed domem Zawiły w Kielnarowy, i tam pod rozłożystą lipą, ochładzając się studzienną wodą, usiedli na chwilę i poczęli rozprawiać, to o tem, to o owem, co im na myśl wpadło, lub co osobliwego na odpuście pouważać mogli. A że tam było między nimi ze sześcioro, co znowu z Leżajska wracali, i razem się zeszli, więc zapytuje się ich Grzegorz:

— A jaki był odpust w Leżajsku? mówią że byli obadwa Biskupi z Przemyśla?

Borowiec. Nie było żadnego.

Grzegorz. Ale musiała być ciżba wielka, kiedy siedmioro ludzi się udusiło.

B. Nikogo nie udusili, nawet niebyło tą razą ludzi wiele, bo jedna część na Kalwaryę poszła, a z tamtej Polski nikogo nie wpuszczali. A któż wam to gadał o Biskupach, i że siedmioro ludzi udusili?

G. A dwa dziady, co dzisiaj ztamtąd przyszli.

B. Że to te dziady muszą zawsze coś nakłamać. To my później bo już po rannej mszy świętej wyszli; fura nawet nam się trafiła, to my jechali, a oni pierwej pognali, a może nawet tam nie byli, skądże więc o tem wszystkiem prawić mogli?

Szymon. To prawda, że dziadom nie można we wszystkiem wierzyć. Alboż to mało narozprawiają po chałupach, jak gdzie który zajdzie? A to z umysłu, aby się przychlebić i większą jałmużnę wycyganić. Niespisałby wszystkiego, co oni tam nieraz nabają.

Borowcowa. Jak to i mnie w jesieni co tylko jeden na śmiech nie wystawił. Włazi do izby, i niby to w sekrecie szepcze mi do ucha, że jak był o dzień pierwej na Drabiniance, to wysłuchał, jak pewien zamożny gospodarz z żoną swoją umawiali się, że zamyślają syna swego jedynaka u mnie żenić! My-

ślę sama w sobie; Zkąd? ani żadnej z nimi znajomości nie mam; może się dziad przesłyszał? Aż tu po chwili nadbiega kuma moja z czwartej chałupy uradowana co jej dziad prawił, a niewiedząc, że mię pierwej już z tą samą nowiną spotykał, i cieszy się że ją pan Bóg tak opatruje, bo już się troszczyć poczynała, co z swojemi czterema pocznie córkami? Ja jej na to: nie bądźcie skorą do dawania wiary, byście zawiedzeni, potem bardziej się jeszcze nie zmartwili. Ale ona nie posłuchała mię, tylko zaraz na drugi dzień bieży na targ do Rzeszowa, tam schodzi się z owym gospodarzem, i sama go zagadnie. Ten oczy wytrzeszcza, wypiera się wszystkiego, ta się zapłoniła i zmięszała: aż mi żal było kobiety, a wszystko przez dziada.

Michał. A u nas zeszłego roku, to przylazł jeden dziad, powiedział że kościoł w Staromieściu zgorzał, to znowu że Moskale do Rzeszowa przyszli, a wszystko było kłamstwem.

Maciej. A co mnie jeden dziad drab zrobił? Dwa lata minęło w zimie pod sam wieczor wszedł do izby i prosi żeby go przenocować. — A czemużby nie? — rzekę. Moja mu nawet kolacyę dała, i pokładliśmy się wszyscy spać. Rano przebudzamy się, dziada niema. Wybiegam na dwór, niema go. Biegam, szukam, ani słychu. Wracam do izby, patrzę, mego kożucha i moich butów nie ma, tylko jego łachy lężą. — A bodajcie sto kaduków wzięło! Tu zima, do kościoła nie ma w czem pójść, pieniędzy także nie było, by nowe posprawiać, musiałem aż się zapożyczyć, com sobie lada jaką kożuszynę i bucięta kupił.

Skowronkowa. A u nas w Siedliskach to znowu jedna jałmużnica podobnie zrobiła. Przyszła pod noc, przyjęli my ją, a ta zrzuciła z siebie gałgany, a przywdziała świeżo pomaglowane chusty gospodyni, co właśnie przyładowała dla siebie na odpust do Boguchwały i uciekła. No i pożałuj że tu takiego!

Grzegorz. Ja wam tu ładniejszą opowiem historyę, dopiero się uśmiejecie. Będzie temu ze trzy lata, był odpust na ś. Rocha w Słocinie. Byłem tam i ja wtenczas z żoną moją, i więcej luda z naszej wsi. Dziad jeden usiadł sobie przy samej furcie, jednę nogę miał obwiązaną szmatami jak kaleka, dwie kule do podpierania leżały przy nim, ale śpiewał tak głośno, że wszystkich przegłuszał, wszystko się ku niemu cisnęło, wszystkie

jałmużny on zagarniał, a inni słabsi mało co, a może i nic nie dostawali. Bo jak zaczął przemawiać i prosić, to znowu dziękować i błogosławić, to jak jaki kaznodzieja. Po nabożeństwie, już po nieszporach kiedy się wszystko skończyło, wracało nas dużo ludzi ku domowi. Na zaleskiej karczmie na poprzecznej drodze słyszymy śpiew i muzykę. Dla ciekawości zaglądamy przez okno, kto tam taki znieważa dzień święty? Spostrzegamy tylko dwóch urlopników, a ci jak to zwyczaj bywa, przenajęci i poczęstowani od żyda, chcąc by ludzi swym zwabić hałasem, wyśpiewują i do tańca się chcą zabierać. Wtem włazi do szynkownej izby i ten dziad, co na odpuście wszystkich zajmował. Kule stawia w kącie, i woła na żyda:

— Arendarzu! dajno mi porcję dobrej wódki, ale dobrej, takiej co to ma korale na wierzchu. Muszę się pokrzepić, bom sie strasznie na odpuście skrzyczał.

Już nam sie to nie podobało, ale czekamy co dalej będzie? Aż on woła na muzykę:

— Zagrajże mi mazurskiego! — Tupnął nogą o ziemię, wywinął pare razy ręką po nad głową swoją, i zaczyna śpiewać. Nie dobrze ja to spamiętał, jak śpiewał, ale wychodzi tak:

Dziadek sobie jestem, po odpustach chodzę,
Choć mam obie nogi zdrowe, to o jednej nodze.

Skoro to ludzie usłyszeli, tak mówią z cicha do siebie. — A cóż on to zamyśla? To jakiś dziad okpisz? — Muzyka mu przegrała, a on ciągnie jakąś kobietę za rękę do tańca, i śpiewa dalej:

Siędę pod figurą, drę z całego brzucha,
Niech mi kto grajcara nieda, naklnę mu do ucha.

Jedni ludzie zaczynaja się śmiać, ale drudzy pomrukują:

— Co on sobie będzie tak pozwalał? Za drzwi z nim! Ale ja rzekę: — Czekajmy dalej. — Wykręcił się kilka razy w koło, staje i znowu śpiewa:

Choć zagonów nie mam, regularnie żyję;
Dobrze sobie jadam, jeszcze lepiej piję.

— A ty urwipołciu — odzywa się Woźniak — to my chociaż mamy po kilka zagonów, musimy dobrze zapobiegać, by się wypłacić, jeszcze nieraz na przednowku i zadłużyć się, a ty za ludzkie grajcary, za świętą jałmużnę będziesz spijał?

Już i mnie brakło cierpliwości. Jak skoczę i pochwycę go za kołnierz:—Co ty sobie myślisz? — A i drudzy za mną przypadli do niego, a on się jeszcze zuchwale stawia mówiąc:

— Czego mnie szarpiecie? to mi tak płacicie za to, że ja się dziś za wami modlił?

— A ty grzeszniku, co twoja modlitwa warta? — A on:

— Albobyście mieli byli taki ładny odpust, gdyby nie ja?

— A cóż ty, czyś kazanie miał? Dalej z nim na dwór!

Wyprowadziliśmy go, położyli na trawniku i nuże go paliczką, a on:

— A dla Boga! — A my:—Drzej się teraz z całego brzucha, a po piątej paliczce: no teraz wstań, i naklnij nam od ucha. Wstał, zaczerwienił się i rzecze ze złością:

— Jak powrócę teraz do dom ku Tarnowu, wszędzie opowiem jakie wy tu grubiany. — A ja na to:

— To ty od Tarnowa jesteś? Może jeden z tych, co to przed czternastoma laty rabowali i zabijali skoro tak bluźnisz i śpiewasz?

A on wtenczas czegoś zbladł, nogi się pod nim zachwiały, pytamy się go, co ci jest? on nic tylko ciężko westchnął, zwolna usiadł, i wsparł głowę na ręku. Domyśleliśmy się co to znaczy; odeszliśmy, on się podźwignął, szedł po za gęstwinę, położył się krzyżem; wzdychał, i aż ku zachodowi tam przeleżał.

Na drugi dzień moja żona była w Rzeszowie, i widziała go w kościele XX. Bernadynów jak we łzach, z ciężkiem wzdychaniem, przybliżał się do konfessjonału, i prosił o spowiedź świętą. Tak to złe sumienie ściga wszędzie człowieka, i niczem się ugłaskać ani przekupić nie da. Strzegłeś nas dotąd Boże, strzeż i na dal od wszystkiego złego, byśmy nie zagubili dusz naszych, ale oglądali zbawienie wieczne!

Skończył Grzegorz, i wszyscy ludzie westchnęli, bo każdemu przykre się przypomniały czasy. Chwilkę było cicho, nareście powstanie znowu Grzegorz, a rzecze:

— Trzeba wspierać ubogich, ale prawdziwie ubogich, ciemnych, chorych, staruszków i kaleki, ale tych co mogą jeszcze robić bo są silnymi, to pędzić do roboty, niech nie zabierają, nie zjadają tego chleba, co się prawdziwie biednym i kalekom

patrzy. Jeśli dajesz zdrowemu włóce jałmużnę, to w nim powiększasz tylko lenistwo i odwodzisz go od uczciwości. Weź takiego do siebie, ale pilnuj go żeby ciężko pracował, i dawaj mu jeść tyle żeby głodu nie czuł, to może ci się uda naprowadzić go na drogę cnoty, a wtedy miałbyś zasługę u Boga.

Słońce już nie dopiekało tak mocno; wszyscy też dosyć sobie odpoczęli w chłódku, więc powstali, pożegnali się z sobą, i każdy poszedł ku domowi swemu, a rozpowiadał co widział i słyszał na odpuście, i powtarzał tę pogwarkę o dziadach.

GOSPODARSKA POGADANKA.

O warzywach.

Jak ksiądz proboszcz obiecał, tak się też i stało, bo wieczorkiem przyszedł na podwórko Wojciecha, a siadłszy wedle drzwi na ławie jął rozpowiadać dokładnie a szeroko, o każdej jarzynie z osobna. Słuchał Wojciech, słuchała kobieta jego i dzieci też posiadały, a dobrodziej tak prawił:

— Po naszych ziemniaczkach co je tak biedny jak i bogaty uprawia, są najwięcej rozpowszechnioną jarzyną ***buraki*** czyli ***ćwikła***. Już-ci każde z was musi znać buraki, a jeśliście się dobrze przypatrywali, to buraki w polu sadzone są zwykle odmienne od tych, co w ogrodzie. Jakoż dwa są główne gatunki buraków: białe i czerwone czyli bure. Najwięcej pożytku jest oczywiście z wielkiego i mięsistego korzenia, bo jest on pożywnym pokarmem tak dla ludzi, jak dla bydła i trzody. Z białych zaś buraków jest ten największy pożytek, że wyrabiają z niego słodki cukier w osobnych ku temu fabrykach co się ***cukrowniami*** zowią.

Oprócz korzenia u buraków, jest jeszcze wiele pożytku i z liścia. Ćwikła ma dużo liści, a są one wielkie i soczyste, dlatego służą za wyborną paszę dla krów, które od nich wiele dają mleka, i dobre. Jest więc burak bardzo użyteczną rośliną tak dla każdego gospodarza, jak i dla każdej gospodyni, potrzeba zatem poznać, w jaki sposób hodowany być powinien, aby jak najlepiej się udał.

Burak jest zagraniczną rośliną; gdyby był rośliną swojską, znajdował by się dziki na polach naszych. Sprowadzono go do nas z obcych krajów tak jak i ziemniaki, tylko prędzej od ziemniaków. Ale jak żyto, pszenica, tatarka, proso i inne użyteczne rośliny z obcych krajów do nas sprowadzone już się przyswoiły, tak się przyswoił i burak, i tak się przyswoi jeszcze niejedna użyteczna roślina, której dziś w naszym kraju nie znamy. Jako więc sprowadzona roślina, wymaga ćwikła więcej starania, niż trawa na łąkach, chrzan, i inne swojskie rośliny.

Najlepiej się ćwikła udaje na gruntach gliniastych, i na gruntach mocnych a niewilgotnych. Na zimnej i wilgotnej roli niszczeje. W ogrodach założonych choćby na lekkich gruntach, ale dobrze doprawionych, i z zielsk wyczyszczonych a gnojem podsyconych, ćwikła także się urodzi. W polu można sadzić ćwikłę na świeżej i na przeszłorocznej mierzwie. Sadzona na przeszłorocznej mierzwie lepsza jest na cukier. Najlepiej rolę przeznaczoną na ćwikłę zaraz po żniwach zorać, aby się odleżała, potem na św. Michał zradlić i zawlec, przed samą zimą znów zorać, składając zawsze po dwie skiby na kupę. Aby woda na roli nie stała, trzeba porobić przegony. Gdy tak spulchniona rola odpoczywa przez zimę aż do wiosny, to skruszeje doskonale.

Jeżeli ziemia jest czysta, można zaraz ćwikłę sadzić na wierzch skiby; ale jeżeli rola nie jest jeszcze czysta i pulchna, to trzeba ją po zimie jeszcze raz w poprzek zradlić i uwlec.

Jak się ćwikła sadzi na roli, to najlepiej przypatrzeć się w polu doświadczonemu gospodarzowi. Pamiętać tylko trzeba, aby już nie sadzić głębiej nad cal. Uważać też należy jak zejdzie, że gdzie więcej niż jedna roślinka czyli rozsada z ziarna wyrosła, to trzeba ją wszędzie powyrywać, a po jednej tylko zostawić. Wyrwaną można wsadzić tam, gdzie nic nie zeszło, albo na próżnym zagonku w ogrodzie. Skoro zaś lepiej już podrośnie, trzeba ją oczyścić ze zielska i ziemię poruszać motyką, albo naumyślnie do chwastów urządzonym pługiem. Gdy się tak kilka razy zielsko wyniszczy, wtedy sama tylko ćwikła się rozrasta i wystaje nad ziemię.

Skoro się już burak bujnem pokryje liściem, natenczas można te liście z brzegów obrywać i dawać krowom jako wyśmieni-

tą karmę, a krowy dobrze będą doić. Trzeba zważać aby tylko nie urwać środkowego liścia, bo by mógł zniszczyć cały burak.

Taka dobrze uprawna ćwikła może bardzo obrodzić, a wtedy wydaje i 300 cetnarów z morga, choć zwykle morg na 100 cetnarów się liczy. Łatwo więc sobie wystawić, jak wielki można mieć pożytek z ćwikły, która jest wyborną paszą przez całą zimę dla maciorek, dla krów, dla wołów i dla trzody. Krowy dają od niej dużo mleka, owce dostają tłustą wełnę, a maciorki dużo pokarmu dla jagniąt. Jest też z buraka i dla człowieka pokarm, choć biały jest za słodki a lepszy dla bydła i na cukier; zaś z czerwnego smaczne i zdrowe jest jadło, a jeszcze lepszy barszczyk zwłaszcza jeśli go gosposia dobrze ukisić potrafi, a do tego świeżą śmietaną podbije.

Skończył ksiądz proboszcz o buraku, i spytał się Wojciechów i dzieci czy zrozumieli i czy pamiętają o wszystkiem co im tu naopowiadał.

— A toć przecie uważaliśmy doskonale pamiętamy sobie wszystko — odpowiedział Wojciech.

Więc ksiądz proboszcz zapytał o to i owo to Wojciecha to dzieci, na próbę czy też co spamiętali z jego opowiadania, a skoro się przekonał, że im to na pożytek idzie, tak jął im rozpowiadać jeszcze o innych warzywach.

Pieniacze.

Wojciech (do jadącego wozem Józefa.) A zkąd to sąsiedzie wracacie?

Józef. A zkądżeby? a jużcić z miasta.

Wojciech. Z miasta? dziś sobota, w mieście nie ma targu, to i cóż wam za niewola była mitrężyć?

Józef. Oj! niewola, prawdziwa niewola, lecz ja temu nie krzywy, jeno kochany Waluś; ale ja w dubelt jeszcze stracę, a swego nie daruję.

Wojciech. To zapewne jeździliście gwoli procesu?

Józef. A jużcić mój Wojciechu, bo gdzież by człek chciał w powszedni dzień mitrężyć? Jeździło się, bo się musiało.

Wojciech. Ej! gdzie się ta musiało, kiedy ludzie świadomi wszystkiego, powiadają że prawujecie się ale więcej z upodoby jak ze sprawiedliwości.

Józef. Co, ja nie mam racyi? prawuję się jeno z upodoby? a bodaj was Bóg kochał i z waszą taką gadką. To chyba że nie wiecie jak to było?

Wojciech. Powiadano mi ta trochę, ale...

Józef. Poczekajcie, poczekajcie, to ja wam przełożę wszystko dokumentnie, a sami rozsądzicie przy kim sprawiedliwość. Jeno słuchajcie. Zaraz po Wielkiej nocy, jakoś we środę oboje Walkowie byli w mieście. Ojcowie mojej kobiety, spodziewając się, że i my tam przyjedziemy, przywieźli nam całą wędzoną kiełbasę i bułkę pszenną z rodzynkami. Ale myśmy nie pojechali, bo kasztanowi memu zadarło się kopyto, więc kulał. Jak więc ojcowie pomiarkowali że nas w mieście nie będzie, tak tę kiełbasę i bułkę pszenną dali Walkom żeby nam je zawieźli. Walkowie ta jak Walkowie, przyobiecali wszystko ojcom, ale jak tylko w pierwszej karczmie napili się wódki, tak pościągali jeszcze i tego i owego i jak się nie chwycili kiełbasy i bułki, tak zjedli wszystko do okruszyny, a nam nawet poczciwego słowa od ojców nie przywieźli.

Coś potem w parę tygodni, jestem w mieście jest i ojciec i pyta się, czy dobra była kiełbasa i bułka co nam przez Walków posłali?

— Jaka kiełbasa,—rzekłem,—jaka bułka? kiedyśmy nic a nic nie widzieli.

Rzecz się więc cała wydała, ale Walkowie zamiast wytłumaczyć się, przeprosić i oddać co zjedli nie swego, to jakem tylko wszedł do ich chałupy, i wsiadłem na nich z wymówiskiem bo ze złości to ażem dygotał, to mój Wojciechu jak oboje nie wsiędą na mnie, to jeno co się mnie nie chwycili. A co było przytem przezywań różnych, co pomstowania, co obrazy Boskiej, bo jeżeli oni wrzeszczeli to i darłem się co tylko gardła starczyło, to powiadam wam że aż ludzie przystawali. Jakem też przyszedł do domu, tak uderzyłem pięścią i rzekłem:

— Poczekaj Walusiu pójdziemy w prawo, a nie daruję swego i żeby mi przyszło pójść w świat z torbami, to pójdę, a

ciebie zprocesuję, zniszczę, a rozumu nauczę i swego nie daruję. Od tego też czasu probujemy się z sobą, i ja jemu pozew o kiełbasę, on mnie o nachodzenie domu; ja jemu pozew o szkodę w grochu przez gęsi, on mnie o zabicie młodej gęsi; ja jemu o kury, on mnie o źrebię, ja jemu komornika, on mnie to samo, tak że nie ma żaden z nas ani konia, ani wozu, ani powrozu żebyśmy się o to nie prawowali z sobą. Kosztuje mnie to bo kosztuje i zboża poszło nie mało, i krowinę przedałem, a dziś zastawiłem korale, żeby było czem dalej się prawować, ale przecież muszę dojść sprawiedliwości, a jego zniszczę z kretesem.

Wojciech. W tem wszystkiem widzę żeście oba zawinili: on że zjadł to co nie było jego, wy żeście z taką zajadłością napadli go w domu.

Józef. Upominałem się przecie o swoje, a za swojem to by człek w ogień poszedł.

Wojciech. A we dworze byliście?

Józef. A jakże byłem, ale we dworze tak rozsądził dziedzic, żeby Walek albo mi oddał ze swego wieprza kiełbasę, albo za nią zapłacił, a ja jeszcze chciałem, żeby w dubelt zapłacił karę. Ale dziedzic nie chciał tak zasądzić, my więc poszli w prawo, i prawować się będę do ostatniego żeby tam nie wiem co.

Wojciech. Ha! to i prawujcie się, i niech wam ta Bóg dopomaga, ale to prawowanie się to musiało was już kilka złotych kosztować?

Józef. Przeszło pięćset złotych mój Wojciechu, przeszło pięćset.

Wojciech. A kiełbasa co mogła być warta?

Józef. A była warta przynajmniej dwa złote jeżeli nie więcej.

Wojciech. A i macie wy rozum, żeby odebrać kiełbasę wartującą dwa złote, wydawać pięćset?

Józef. To trudno mój Wojciechu, bo tu nie idzie o kiełbasę tylko o honor. Wio! szkapy, wio! zostańcie z Bogiem.

Wojciech (kiwając głową za odjeżdzającym.) Oj! procesowniki, procesowniki, a pamiętajcie jak to ludzie mówią: *Lepsza słomiana zgoda niż złoty proces*! Pamiętajcie, że każdy procesownik *wprzód straci gęsiora, zaczem weźmie kaczora.*

Wydawca odpowiedzialny za redakcyę: E. Winiarz.